

Korzystam z zachęty Pana Prezesa PTH Prof. Krzysztofa Mikulskiego, aby wypowiedzieć swoje opinie na temat - jak już nazywam – Debaty Warszawskiej. Spełniam, w jakiejś mierze postulat Prof. Andrzeja Nowaka, zainspirowanego namową Mistrza Wincentego, *abyśmy się nawzajem krytykowali*.

Przesłuchując Debatę Warszawską, zauważyłem, że koledzy niemal powszechnie za historię najnowszą biorą dzieje polityczne II i III Rzeczypospolitej i ewentualnie powiązane z nimi dzieje stosunków z geopolitycznie znaczącymi sąsiadami. Stało się tak zapewne dlatego, że motywem spotkania jest zatroskanie o stan relacji między dysponentami polityki historycznej, polityki pamięci i polityki dziedzictwa, państwem, a społeczeństwem obywatelskim, jego instytucjami, a przede wszystkim środowiskiem nauk historycznych i jego gremiami przedstawicielskimi. W tej relacji z państwem na wysuniętym drażliwym przyczółku znajduje się historia najnowsza.

Historykiem najnowszym jest – wedle uczestników dyskusji - nie tyle badacz uprawiający historię powszechną, historię gospodarczą, historię kultury, ustroju, czy życia codziennego. Historykiem najnowszym jest Prof. Rafał Stobiecki bo pisywał o PRL-u, w tym o historiografii PRL-u, a ja badacz historiografii francuskiej XX wieku i metodolog nauk historycznych, już raczej nie. Mało tego, ***badaczami dziejów najnowszych*** (podkreśl. moje W.W.) są za to według Prof. Zaremby socjologowie, psychologowie (sic!), antropolodzy, literaturoznawcy... A może otwierając Debatę, jeden z jej inicjatorów po prostu chciał powiedzieć, że ci ostatni są nie tyle badaczami dziejów najnowszych ile, po prostu, badaczami współczesności...

Nie boleję z tego powodu, że wizerunek historii najnowszej zdominowali przedstawiciele historii politycznej. Szkoda, że rzadko pamięta się o tym, że może nią być, historia myśli politycznej, historia idei, historia intelektualna, nie mówiąc, że politologia, to dyskurs bliźni wobec historii najnowszej (o politologów upominał się prof. Kawalec). Marginalnie zabrzmiały napomknięcia o potrzebie historii politycznej II rzędu (prof. Pomorski, prof. Traba). Zabrakło zdystansowanego oglądu zarówno dziejów politycznych, jak i historycznych analiz sporów i konfliktów o interpretacje najbliższej przeszłości w celu zrozumienia polskiej

kultury politycznej i życia politycznego w ich jedności. Wyjątkiem jest tu próba wyspecyfikowania różnicy między obecnością historii w dyskursie publicznym i tym akademickim podjęta przez Jana Pomorskiego.

Co gorsza, historia najnowsza, pojmowana jest najczęściej jako klasyczna historia polityczna. Ta zaś, – jako to wskazywał Reinhardt Koselleck – to losy *Handlungseinheit*, podmiotu historycznego, zwanego przeze mnie Jednostkowym Podmiotem Sprawczym. Ów sprawca, twórca i bohater historii, to zwykle wybitna jednostka, ale dla historii politycznej nie mniej rzadko: państwo, naród, instytucja społeczna, mniejszość narodowa, grupa wyznaniowa, ugrupowanie zbrojne, organizacja polityczna... Te ostatnie, ponieważ ujmowane są w sposób antropomorfizujący, tym samym zanurzone są ludzko ujęte wartości, bo są nimi m.in. cele, motywy, intencje, które kierowały – wedle historyków – działaniami historycznych podmiotów politycznych. Klasyczna historia polityczna to siedlisko wartości w tym w szczególności wartości światopoglądowych, ideologicznych i politycznych.

Bliskość kategorialna i aksjologiczna światów polityki i historii najnowszej ukazała się w całej pełni w trakcie grudniowej warszawskiej dyskusji. Także dlatego, że dla części uczestników spotkania jego celem było kontestowanie *banalizowania i instrumentalizowania* historii jakie ma – ich zdaniem – miejsce w ostatnim czasie.¹

A więc dyskusja odbyła się w cieniu aktualnego burzliwego życia politycznego. Jej pole problemowe wytyczone zostało przez węzłowe kwestie polityczno-historyczne ostatnich trzydziestu lat, w tym zwłaszcza ostatnich kilkunastu miesięcy. To politycy, publicyści i dziennikarze wyznaczyli problemy poruszane przez moderatorów i dyskutantów warszawskiego spotkania. Przedstawiciele środowiska akademickiego podjęli próbę ich krytycznego zneutralizowania i akademickiego osądzenia. Przy czym dodajmy, zasadniczo biorąc, bez opuszczania terytorium sporów polityczno-historycznych. Zajmowali stanowisko wobec konkretnych wydarzeń i zjawisk życia publicznego, opowiadali się po stronach

¹ Tak we wstępie do dyskusji cel spotkania sformułował prof. Zaremba. W nieco innym planie kategorii, zaproponowanym przez Prof. Pomorskiego w kulturze dokonuje się polityzowanie i mitologizowanie historii. Szczegóły w obszernym jego tekście zamieszczonym na stronie PTH.

głośnych sporów. Wśród dyskutantów przeważała ufność, że prezentowane przez nich racje dają się uzasadnić przy pomocy argumentacji akademickiej, że nauka historyczna dysponuje skutecznym instrumentarium dla stanowienia obowiązującej publicznie prawdy. Wiara w to, że akademicka perswazja prawdy jest skuteczna, podzielana jest zwłaszcza przez historyków wspierających wybraną stronę politycznego sporu.

Weźmy dla przykładu wystąpienie prof. Andrzeja Friszkego. Uznając aktualne spory w historiografii za sytuację normalną, skupił się na dyskusjach publicystycznych i politycznych. Dziwił się m.in., że w dyskusjach politycznych o PRL-u odstąpiono ostatnio od dwóch wyrazistych opinii Lecha Kaczyńskiego i jednej Jana Olszewskiego. Opinii – jak rozumiem – w ocenie prof. Friszkego racjonalnych i godnych respektu mimo, że sformułowanych przez polityków. Znakomity badacz współczesnej polityki ubolewał, że rozumne, umiarkowane i wyważone stanowiska sztandarowych polityków nie są powszechnie, ani trwale podzielane przez środowiska polityczne, z których się wywodzili. Ja z kolei byłbym zaskoczony, gdyby politycy trwali przy swych ocenach polityczno-historycznych niezależnie od koniunktury politycznej. Byłbym zaskoczony, gdyby opinie w gorącym sporze politycznym były wyważone, umiarkowane i dodatkowo zbliżone do tych pochodzących ze środowiska akademickiego. Profesor Friszke opinie wspomnianych polityków uznaje za wyważone i godne uznania. Ja z kolei oczekiwałbym ze strony historyka życia politycznego – jeśli wolno – raczej tylko interpretacji historycznej sensu politycznego onegdaj wygłaszanych opinii i dodatkowo ewentualnie, hipotez na temat powodów odejścia od ocen historycznych Lecha Kaczyńskiego i Jana Olszewskiego. Dopuszczając opinie Lecha Kaczyńskiego i Jana Olszewskiego do miana mniej lub bardziej trafnych ocen istoty PRL-u pozostaje Prof. Friszke na poziomie dyskursu politycznego, bo na tym poziomie dokonuje się wspomniana zmiana ocen dziejów PRL-u, wtedy gdy dzisiejsi politycy i publicyści rewidują opinie wspomnianych polityków. Jednocześnie jednak, o czym była mowa Prof. Friszke legitymizuje owe opinie jako historyk. Staje się nie tyle jest arbitrem, zdystansowanym obserwatorem zmiany politycznych ocen PRL-u, ile uczestnikiem sporów politycznych o PRL. Zajmuje stanowisko w tym sporze. Być może tak pojmuje on rolę historyka dziejów najnowszych.

Profesor Friszke wskazał ponadto na zasmucający stan krytyki historycznej, która przyzwala na rozpowszechnianie kłamstw w pracach historycznych. Szczególnie szkodliwe, jak zrozumiałem jest nie to, że one powstają, ile to, że nasze milczenie lub oportunizm pozwala na plasowanie się takich prac wśród dzieł akademickich. Powodów niskiego poziomu krytyki naukowej w naukach historycznych jest wiele. Jednym z nich jest sekciarska struktura korporacji historyków skutkująca między innymi pozorowaniem recenzowania prac na stopień naukowy. O ich ocenie decyduje częściej usytuowanie autora (promotora) w sekcji/koterii specjalności naukowej niż wartość poznawcza ocenianej pracy. W centrach tych koterii znajdują się dystrybutorzy dóbr, którzy kontynuując tradycje dynastyczne, namaszczani przez poprzedników, decydują kto jest dzisiaj dopuszczany do sekty, a kto nie. (o udziale zawodowych historyków, w tym starszych, uznanych w degradowaniu wiedzy historycznej wspominał dr Jan Olszek)

Zaradzić temu może w jakiejś mierze odrodzenie praktyki recenzowania książek historycznych, historycznych kanałów i programów telewizyjnych, platform historycznych, krytyka politycznych interpretacji historycznych, a także podnoszenie kwalifikacji historyków angażujących się w publiczny dyskurs (postulat prof. Traby o uwzględnienie tej umiejętności w programach kształcenia na studiach). Literatura polityczna, publicystyka polityczna i popularna literatura historyczna powinny stać się przedmiotem krytycznej analizy historycznej. Wszelkie produkty kultury masowej nawiązujące do treści historycznych powinny stać się przedmiotem badań istniejących i nowych dyscyplin wspomagających historię. Studia nad masową/popularną kulturą historyczną powinny stać się istotnym elementem programów studiów historycznych. Podobnie zresztą badania nad nowoczesnymi sposobami rozpowszechniania treści historycznych od filmu, przez literaturę historyczną, sztuki plastyczne, po gry komputerowe. Publicystyka historyczna, dziennikarstwo historyczne, redagowanie internetowych gatunków komunikowania społecznego, to powinny być umiejętności nabywane na studiach historycznych.

Trzeba stanowczo oponować przeciwko rozpowszechnionemu mniemaniu, że każdy może być ekspertem od historii (politolog, psycholog społeczny, socjolog, poseł, pisarz, reżyser,

polityk wreszcie...) Trzeba występując publicznie w roli historyka/eksperta, nie tyle wyrażać swoje poglądy polityczne, ile stan wiedzy historycznej w danej dziedzinie. Nie może być ekspertem od powstania wielkopolskiego mediewista, ani nie powinien badacz starożytnego Bliskiego Wschodu podsumowywać konferencji o Powstaniu Styczniowym. Żaden żyjący w PRL-u historyk, nawet i czterdzieści lat w tych czasach żyjący, nie staje się dzięki temu tylko historykiem/ekspertem od dziejów PRL-u, jest co najwyżej świadkiem, uczestnikiem, ofiarą, lub beneficjentem, czy pieszczoszkiem reżimu. Historykiem PRL-u jest Prof. Friszke, ale nie prof. Modzelewski żyjący dłużej i boleśniej w PRL-u niż prof. Friszke. Prof. Modzelewski jest uznanym mediewistą, ale nie jest badaczem wydarzeń 1956 r. na Węgrzech, ani w Polsce. O historycznym wymiarze 1956 roku w Polsce i na Węgrzech Prof. Modzelewski wie więcej niż Prezydent Duda ponieważ jest historykiem tout court, ale nie dlatego, że w 1956 r. ogarniał rozumem i sercem studenta bieg i znaczenie ówczesnych wydarzeń. Prezydent Duda wie mniej o wydarzeniach 1956 r. niż wspomniani profesorowie historycy, bo jest prawnikiem i początkującym politykiem, co nie usprawiedliwia jego kancelarii i doradców, gdy popełniają błędy. Dodajmy te dostrzegane przez historyków, przez nich powinny być wskazywane.

Zasmucające, że niektórzy koledzy inicjujący warszawską dyskusję przybyli nieprzygotowani. Ich przeświadczenie o tym, że są profesorami i mogą marudzić na każdy temat przed każdym audytorium owocuje stratą czasu zebranych - w dobrej wierze - członków wspólnoty. Do tych wystąpień zaliczyłbym chaotyczne publicystyczne zaciętrzewienia Prof. Głębockiego. Pochopne opinie i polemiki z nieudokumentowanymi opiniami okraszone zacięciem retorycznym wobec niezidentyfikowanych adresatów to raczej wyraz stanu ducha niż przemyśleń na temat wiodącej Debaty. Przyniesiony z poprzedniego spotkania naukowego wątek o tzw. putinizacji, bez dodatkowego wkładu interpretacyjnego słuchacza nie mieściłby się nawet w banalnej wykładni problemu spod znaku: o zawodności zabiegu komparatystycznego... Okoliczność, że – jak twierdzi profesor Głębocki – Rosja i Białoruś dotąd nie otworzyły archiwów oraz fakt, że nie rozliczono u nich zbrodniarzy komunistycznych, jest jakoby analogiczna do (a) zaniechania w Polsce lat 90-tych historycznych dyskusji i oraz (b) kontestowania udostępniania archiwaliów, jest podobnie zasadnym zestawieniem, co krytykowana przez profesora analogia między różnymi zjawiskami współczesnego życia politycznego i publicznego w Polsce tzw. putynizacją a tzw.

putinizmem w Rosji. Nie sposób tak formułowanych tez, z takim zasobem uzasadnień dyskutować poważnie. Tak zwykle bywa w dyskusjach pozanaukowych i ich medialnych wydaniach. Tam króluje anonimowość opinii, zasięg tez i ich ewidencja źródłowa nieznana, ich weryfikowalność iluzoryczna. W jakim stopniu trzy refleksje Profesora wiążą się z tematem warszawskiego spotkania pozostaje jego tajemnicą. Bolące go problemy: tzw. odmowa wiedzy na temat przeszłości, lustracja w środowisku akademickim, są ważne, ale czy przy każdej okazji godne i to zdawkowego podnoszenia? Podobnie wypowiedź prof. Kawalca jest błędnym sięganiem po niejasnych wątkach. Obaj koledzy profesorowie epatowali za to dosadnym językiem. Z kolei, Prof. Roszkowski zaskoczył luźnymi impresjami doświadczonego badacza. Teza o monopolu państwa na prowadzenie polityki pamięci i dziedzictwa de facto deklaruje kapitulację historyków wobec ich zadań na rzecz społeczeństwa.

W efekcie, najnowszą historię polityczną nie stać jeszcze na ustanowienie stosownego dystansu poznawczego wobec wielu stron publicznej dyskusji o najbliższej przeszłości. Nie stać na potraktowanie zdarzeniowej rzeczywistości politycznej, jak i narosłych wokół niej sporów jako łącznej materii dla badań nad życiem politycznym. Póki co, nie stać nas na potraktowanie aktorów najbliższej przeszłości jak bohaterów historycznych, zdystansowanie się od sporów i konfliktów politycznych. Aktualność odciska swoje piętno zarówno na aktorach ją tworzących, jak i historykach w niej uczestniczących. Potrzebny jest dystans historyczny dzięki któremu cała ta splątana rzeczywistość stanie się przedmiotem oglądu. Dla jednych byłyby to dzieje ostatnich stu lat, dla innych, sześćdziesięciu, dla jeszcze innych, tylko 35, czy 27 lat. Dobrze znane są strategie badawcze, które umożliwiają zbudowanie narracji neutralnej, unikającej perspektywy uczestnika, świadka, ofiary, sprawcy, widza, sędziego.² Perspektywa zanurzenia się w rzeczywistość badaną i pozostawania w niej prowadzi historiografię akademicką do stronniczego ideologicznie, politycznie, czy światopoglądowo obrazu świata badanego.

² Nie znaczy to, że wszystkie te perspektywy kulturze narodowej nie są potrzebne. Przeciwnie, są niezbędne.

Jeśli zaś, wszystkie te spory i konflikty interpretacyjne ulokowane zostaną zarówno w czasie długim, jak i rozleglejszej przestrzeni, zdarzenia i procesy polityczne wraz z towarzyszącym im zgiełkiem dyskursywnym uzyskają perspektywę dajmy na to ewolucji kultury politycznej składającej się z praktyk działań politycznych, jak i otoczki myślowej tychże, to uzyskamy szansę na bycie kulturowym arbitrem, akademickim historykiem. Potrzebna jest najnowsza historia polityczna II rzędu (wspominali o czymś podobnym bodaj dwaj uczestnicy dyskusji, Prof. Pomorski postulując badanie gramatyk polityzacji i mitologizacji historii oraz Prof. Traba). Ona to wszystkim zaangażowanym dostarczyć mogłaby neutralnego opisu naszej najbliższej przeszłości, w tym w szczególności tym naszym współobywatelom, którzy nie uczestniczą i nie chcą brać udziału w waśniach politycznych. Także obywatelom, którzy nie chcą rozstrzygać kto ma rację w koniunkturalnych sporach, ale chcą znać nasze dzieje najnowsze.

Ryzykownym dla profesora jest przekonanie, że zawsze i przed każdym audytorium może mówić bez przygotowania. Zgubnym jest przeświadczenie medialnych dyżurnych ekspertów/profesorów, że mogą mówić bez przygotowania na każdy temat. Podobnym do tego jest pogląd, że profesor może prowadzić doktorat lub firmować grant na każdy (niemal) temat.

Uczę doktorantów i studentów, że referent przygotowany, to taki, który na życzenie przewodniczącego obradom, zawsze jest w stanie przeorganizować swój wywód, aby zmieścić się w danym mu czasie. Referent, nieprzygotowany do wystąpienia, to m.in. taki, który część czasu marnuje na ubolewania nad skromnością czasu jaki mu dano. Przy czym, zauważmy czas dano mu wprzód, nie przez zaskoczenie tuż przed zabraniem głosu. Usprawiedliwianie przeciągania przez mówcę wypowiedzi ponad przysługujący mu czas, to taka specyfika naszej kultury dyskusyjnej. Inna panująca wśród dyskutantów maniera, to niepamiętanie - lub bywa celowe niepamiętanie - nazwiska i statusu zawodowego/naukowego adversarza. Zapewne po to, aby wśród maluczkich umniejszać znaczenie jego krytycznej opinii. O dziwo jednak na tyle jak się okazuje zauważalnego polemisty, że replikuje się mu publicznie. Postulat dla uczestników dyskusji jest prosty:

notujemy nazwiska kolejnych dyskutantów; mogą nam się przydać. Podobnie konsultujemy z bliźnimi w profesji wystąpienie wstępne szykowane na ważne spotkanie. Wówczas być może zauważy ktoś, że osoba witana, reprezentuje Komitet Nauk Historycznych PAN, a nie Komitet Badań Historycznych. Doradzi, czy wspominać, że na sali obecny jest zastępca ambasadora **jednego z państw UE** (podkreśl. moje W.W.; jeszcze lepiej zabrzmiałoby; jednego z państw NATO...). Dyplomata jeśli jest incognito, to nie należy o tym wspominać. Jeśli był zaproszony, to otwarcie przedstawić. Poza tym, Szanowny Kolego Profesorze, co z tego, że na sali jest zastępca ambasadora... Tyle samo, ile istotne jest, że organizatorzy uprzednio planowanego „Kongresu” (tzw. 5 listopada), otrzymali wsparcie z... i od... Wsparcie w czym? Podobnie, jeśli wymieniałbym ośrodki akademickie, z których przybyli uczestnicy spotkania, to zadbałbym, aby nie pominąć ważnych.

Krytykujemy się nawzajem, apelował Prof. Nowak...

Zgadzam się z prof. Modzelewskim, że istnieje w polskiej kulturze *głębokie pęknięcie, rozdarcie, czy raczej mur chiński, przez który nie przenikają informacje, argumenty, ani wartości. Ponieważ historia jest częścią kultury, to i w niej może tak będzie*, twierdzi profesor. *Ale trzeba się bronić*, skwitował enigmatycznie w Warszawie wybitny mediewista. Dodatkowo, zauważmy, profesor zadeklarował – na wstępie swej wypowiedzi – niewiarę w zachowanie jedności we wspólnocie historyków. O obiektywnym podziale i polaryzacji politycznej w Polsce napomknął dr Krzysztof Persak. Szkoda, że to tylko lakoniczne stwierdzenie. Skonstatowanie stanu, bez dookreślenia go. Ważne byłoby w trosce o dobro wspólne wykonać kilka kroków dalej. Na początek dodam, owo głębokie pęknięcie istnieje nie tylko w kulturze polskiej, ale i w europejskiej.

Dla mnie – powiem bez ogródek – to kwestia o kapitalnym znaczeniu. Nie ma ważniejszej, bo wspomniany głęboki podział, to sytuacja fundująca spór przeradzający się w konflikt. Spór fundamentalny – z jakim mamy dzisiaj w Polsce do czynienia -, to starcie niewspółmiernych wizji kultury, których składowymi są m.in. kategoriałnie odmienne obrazy przeszłości. Uczestnicy tego sporu po obu jego stronach przywiązani są do odmiennych sposobów stanowienia prawdy. Ustanawiają jako istniejące różne stany rzeczy. Dla jednych ważne i

godne poznania są takie zjawiska, dla drugiej strony, już nie. Strony sporu, posługują się innymi sposobami uznawania danych empirycznych. Ze wzajemnością nie uznają przedkładanych przez siebie, danych źródłowych i tzw. faktów. Jest tak z tej m.in. racji, że – i tu moja szkicowa odpowiedź - fakty (w historii niezbywalnie ludzkie, humanistyczne) nie dają się oddzielić od wartości. Mało tego, wiemy już dzisiaj, że tzw. fakty nieoddzielane są od ich użycia w interpretacji. Z jednej strony, różnice w rozumieniu faktów jakie dzielą skonfliktowane strony prowadzą do nierozstrzygalnych konfliktów o związane z nimi wartości. I wzajemnie, z drugiej strony, to konflikty o wartości ustanawiają kontrowersje w odniesieniu do faktów. Obie strony sporu fundamentalnego skutecznie w ramach swych strategii argumentacyjnych, obiektywizują uznawane przez siebie wartości, ale równocześnie nie uznają obiektywizowanych wartości przez oponentów. Nie istnieje sposób (procedura, instancja, arbiter, autorytet...) umożliwiający rozstrzygnięcie sporu między stronami posługującymi się niewspółmiernymi sposobami stanowienia Prawdy.³ Jeśli polityka państwa opowiada się w tym sporze po jednej ze stron, to prowadzi to do konfliktu z drugą stroną. Państwo wówczas upaństwowia konflikt. Może wówczas siłą swej przemocy symbolicznej, politycznej, prawnej, materialnej próbować narzucić reprezentowany przez siebie styl myślenia o świecie w tym i politykę historyczną, politykę pamięci i politykę dziedzictwa zwolennikom innej formacji mentalnej.

Oczywiście hipoteza ta wymaga poważnych rozwinięć i badań, ale zdaje się prowadzi ku przekonywującej tezie, że po obu stronach mamy do czynienia z niewspółmiernymi światami, w których obowiązują dwa niezgodne ze sobą sposoby stanowienia prawdy. *„Między tymi punktami widzenia niepodobna rozstrzygnąć odwołując się do racji obustronnie uchodzących za prawomocne (...) dla każdego ze skłóconych stanowisk sama prawomocność racji podawanych przez przeciwnika zakłada uprzednio kryteria wartościowania zakorzenione w jego – przeciwnika – arbitralnym postanowieniu.”*⁴ Ta diagnoza Leszka Kołakowskiego

³ Zainteresowanych tym wątkiem zachęcam do zapoznania się z moim tekstem p.t. *Tezy o względności historycznej. W poszukiwaniu fundamentów dla pokojowego kultywowania niewspółmiernych obrazów przeszłości.*, tekstu powstałego dla Nauki Polskiej, który ukaże się w najbliższym numerze tego czasopisma. Dziękuję Redakcji, która wyraziła zgodę na zamieszczenie go na stronie PTH.

⁴ Kołakowski L., *Obecność mitu*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1994, s. 152.

pasuje do sytuacji, z którą możemy mieć do czynienia. Różnica między stanowiskiem Profesora Modzelewskiego a moim jest taka, że nie mam w zanadrzu romantycznej wiary, że istnieje prawda informacji, czy faktów. Sam Profesor wbrew sobie stwierdza, że „przez chiński mur nie przenikają informacje, argumenty i wartości”. Jeśli nie przenikają informacje tj. tzw. fakty, to nie istnieje możliwość porozumienia co do nich. Na finał tego wątku Karol Modzelewski dorzuca: *może tak będzie, ale trzeba się bronić...* Narzuca się pytanie, przed kim, czy przed czym, mamy się bronić?⁵ Każda ze stron, własnej wizji prawdy ma bronić, przed nosicielami innej?

Zauważmy, że spory o interpretację najbliższej przeszłości odbywają się także w obrębie wspomnianych obozów. I tu – jak się zdaje istnieją możliwości porozumienia. Tu można wskazać wspólne obszary danych źródłowych, tu istnieje pole możliwych uzgodnień interpretacyjnych. Jest tak bowiem dyskutujący poruszają się w polu wspólnie respektowanych założeń, stylów myślowych i warunków stanowienia Prawdy. Spory tu bywają ostre, jednak strony sporu nie zaliczają oponentów do grupy niewiernych, czy innowierców lecz tylko traktują ich jedynie jako braci błędzących w wierze.